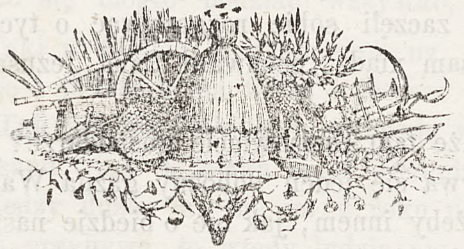
Tom VIII. Nr. 12.

21. Kwietnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skały Odrzykońskie.

Niedaleko naszego miasta Krosna ku północy są góry i lasy, a na tych górach widać kilka mil zdala jakieś kamienie straszne, nito stare dwory, nito mury z jakiegoś miasta dawnego — a stoją tam i wielkie kamienie nito dzwonice wysokie. Koło tych gór i kamieni są do koła wioski, to Korczyna, to Odrzykoń, to Krościeńko, to Kombornia, a lud tam prawdziwy polski z dziada pradziada, pobożny, pracowity, trzeźwy i odziewa się zawsze czysto i pięknie, osobliwie w każde święto. Mają też ci ludzie rozum i dbają o swoje drobne dziatki, bo fundowali sobie szkoły to w Korczynie, to w Odrzykoniu, to w Krościenku, a i xięża tam stoją o chwałę Bożą i dobro ludu swego. Nie ma też tam nikogo takiego, coby nie wiedział coś opowiedzieć o tych kamieniach; jedni gadają to to, to owo, drudzy gadają o jakichś strachach, studniach i piwnicach, inni o strasznie wielkich pieniądzach, na których ma siedzieć sam lucyper i wartuje dobrze, aby tam nic nie zginęło. Ale kto zaś ma rozum dobry, to nie wierzy w takie gadanie, jeno so-

bie uważa i miarkuje, że to i te kamienie stworzył Pan Jezus kiedyś i to nie nadarmo.

Otóż raz w niedzielę zeszli się gazdowie koło kościółka w Krościenku i zaczęli sobie rozgadywać o tych kamieniach. Nato nadszedł sam xiądz, pochwalił Pana Jezusa, powitał ich pięknie i pyta:

— O czemże tam rozmawiacie gospodarze?

Na to odzywa się jeden pobożny gazda Wawrzyniec:

— O czemżeby innem, jak nie o biedzie naszej. Ale teraz patrzamy na te kamienie, co się jakoś czernieją, i pono to na słotę — i dziwnato rzecz mój Jegomość te kamienie.

Xiądz: Wszystko to dla nas dziwne, mój gazdo, co jeno sam Pan Jezus zrobił kiedy, a to wszystko jest dla naszego dobra. I te kamienie są dla naszej nauki i przestrogi.

A zaraz odzywa się znowu gazda Michał i gada:

Tać ta Jegomość pewnie muszą wiedzieć prawdę o tych kamieniach, boć pono są i pisma o nich, a nasz pan ma pono wielkie xiążki spisane o tem.

Xiądz: Otoż ja wam opowiem prawdę o wszystkiem, boć ja czytałem te pisma dawne, jeno posłuchajcie a potem też i drugim rozgadujcie, jak się to stało.

— Widzicie, że dawno bardzo miała stać tam wieś i to dobra wieś, gdzie teraz stoją te straszne kamienie. Nie było tu wtedy ani Odrzykonia, ani Korczyny, ani Krościenka, ani Komborni, jeno jedna wielka gromada, gdzie było gęsto chałup, luda dużo i pracy podostatkiem. Ta rzeka nasza Wisłok, to sobie płynął wtedy nie tędy, jak dziś, ale on sobie był aż tam pod temi kamieniami, a wieś też tamta stała sobie na brzegach jego — a musicie też i to wiedzieć, że nie było wtedy ani góry ani lasu, jak to dziś, jeno równina i łąki i pastwiska, a na tej równinie stała ta wieś wielka, a rzeka szła przez sam środek wsi. I jak widzicie sami, że musiało być bardzo dobrze tamtym ludziom, bo co to woda blisko dla chudoby i drobiu i dla ludzi — a znowu równina taka, to święta ziemia dla chleba i dla wszystkiego. — Oj moi kochani! była to szczęśliwa gromada, bo gdzie dziś stoi jakie 6 wsi, to wtedy była jedna i te wszystkie grunta do niej należały.

Na to odezwał się gazda Michał, co to sam pisał i czytał i rozumiał, jakto bywało dawno:

I gdzież to się mogło podziać wszystko, mój Jegomość.

Xiądz: Taki to koniec wszystkiemu na ziemi, jeno co złe, to marnieje i przepada na wieki i jeszcze po nas zostanie dla drugich. Tak się też stało z tą gromadą wielką i bogatą. Bo to wiecie sami, jak ludziska mają jedzenia aż po gardło, jak mają pieniędzy dużo, jak się im z roku na rok rodzi dobrze i chudoba przybywa, to wtedy ludzie nie mogą sobie dać rady, jeno hulają, jedzą, piją, zapominają na duszę i na karę Bożą — a jacy są rodzice, takie też bywają i dzieci, jacy starsi gospodarze, tacy i parobcy, jakie matki i gospodynie, takie i córki i inne dziewki — z jednej chałupy złej idą grzechy do drugiej i tak pomału za kilka lat staje się gromada grzeszną. Otoż i ludzie tamtej gromady stali się bardzo grzesznymi. Bóg to cierpiał długie lata, ale jak się i u Boga przebrało, to jużci trudno, aby źli ludzie wygrali, a Bóg przegrał, bo kto z Bogiem zacznie wojować, to musi w końcu przegrać. Otoż widzicie, raz w nocy zaczęło bardzo grzmieć, aż się ziemia trzęsła — naraz było słychać, że coś pod ziemią zahuczało, zaczęły się dachy na budynkach kiwać i naraz rozstąpiła się ziemia święta tak szeroko, że cała ta gromada grzeszna zapadła się na wieki, a na miejscu tem, wyszły do góry te kamienie i zostały aż po dziś na tem samem miejscu i to nam na przestrogę!

Na to opowiadanie aż potruchleli gospodarze i długo dumali sobie, a Michał znowu zapytał:

Ba! a czemuto są jedne kamienie małe, a drugie stoją jak dzwonice jakie?

Xiądz: Bo widzicie! te trzy kamienie wielkie to mają stać na tem miejscu, gdzie były trzy chałupy największych bezbożników, to też zostawił Bóg te wielkie kamienie na to, aby z daleka patrzali na nie ludzie i widząc je miarkowali sobie dobrze, że to nie trza nigdy iść na udry z Bogiem, jeno trza Go słuchać i robić jak się patrzy.

Na to odezwał się znowu gazda Wawrzyniec:

— A cożto się porobiło z tą wodą, co to teraz idzie przez inne wsie, a wtedy szła środkiem tamtej gromady, co to się z kretesem zapadła?

Xiądz: Ta woda moi kochani! odeszła het daleko z tego przeklętego miejsca, bo jej tak Bóg kazał, aby ona służyła innym gromadom, co to chwalą Boga i nie robią tyle grzechów — ale jeźli i ci ludzie będą tak robić, jak tamta nieszczęśliwa gromada robiła, to i ta woda odejdzie od ich gruntów i chałup i pójdzie znowu dalej, a ta ziemia zamieni się w pustynię i nie da pożywienia, albo też może Bóg tak samo zrobić i dziś ludziom grzesznym, jakto zrobił i tym nieborakom nierozumnym.

Na to odzywa się Michał:

— Toć my tam byli nie raz z Wawrzyńcem przy tych kamieniach, ale tam strach wielki bierze i znowu leżą tam w dole kamienie daleko po jednemu.

Xiądz: Toć widzicie! powiem wam znowu to, że święci Anieli płaczą nad grzesznikami, a radują się nad pobożnymi, a płaczą najbardziej wtedy, jeźli nie mogą przebłagać Boga, aby odwrócił karę od ludzi. To też mieli ci Anieli strasznie prosić Boga za tamtą gromadą grzeszną, ale to nie pomogło, bo byli ludzie bez upamiętania. A jak też Bóg spuścił ogień z Nieba na nich i oni zaczęli wtedy dopiero płakać, to też i Anieli święci mieli tak bardzo płakać nad tymi biedakami, że ich łzy leciały na ziemię tak wielkie, jak te kamienie, i pozostawił je Bóg dotąd na miejscu, aby ludzie inni patrzali się na to i swojem złem życiem nie robili utrapienia Bogu i świętym Aniołom, ale żyli pobożnie i robili Bogu i Aniołom pociechę, a sobie radość.

Na to odezwał się z płaczem pobożny Wawrzyniec:

— Toćby to już trza człeka nie wiem jakiego, żeby też robił na udry Bogu, Aniołom i ludziom dobrym, i żeby się nie upamiętał zaraz po jakim grzechu, ale sam sobie szukał zguby i biedy na wieki.

A Michał pytał się dalej:

— Czemuto te kamienie raz białe, raz czarne, to niby na pogodę to na słotę znaczą?

Xiądz: Wszak do dziś widzicie na tych kamieniach palec Boży. Bo juźci, kiedy się Pan Jezus nie gniewa na nas, to i gwiazdeczki świecą ładnie po nocach i miesiączek jasny i pogoda przyświeca aż miło, i wtedy aż miło na dworcu być; otoż uważacie wtedy też i te kamienie choć przeklęte są także wesołe i bieleją się, bo nie czują gniewu Bożego i słusznie gadacie, że wtedy pogoda bo się i kamienie bieleją. A znowu, gdy się na nas gniewa Pan Jezus za nasze nieprawości, to wtedy i Niebo smutne i chmury lecą czarne i gwiazdeczki i słoneczko zakryte i smutno wszędzie; to też i te kamienie są czarne ni to smutne, bo wtedy bliska kara Boża na ludzi i słusznie też gadacie, że będzie kara Boża, że będzie słota, bo i kamienie są czarne.

Na to odezwał się zadumany Wawrzyniec:

— Mój Boże! tożto pono i prawda, że tam pokutuje nie jedna dusza może do dziś — tożto w takiem przeklętem miejscu są tylko gady i sowy, ani tam drogi ani kwiatków, ani tam ludzie dotąd, ani tam bydle nie idzie, toteż pono na tem miejscu nikt się tam nie dorobi niczego i wioski tam biedne i dotąd jakieś przekleństwo Boże, bo tam jeno sami złodzieje się chowają, a iść tam popod te kamienie, to aż strach bierze.

A Michał na to odezwie się:

— A widzicie! że przecie tam byli ludzie i nie bali się, boć jaki tam zamek stoi na tych kamieniach, jakie tam piwnice, studnie.

Xiądz: Tożto prawda! bo kto dobry, to się nie ma czego bać! To też pobożny i dobry król jeden polski, kazał ten zamek wyfundować, na zamku była kaplica a xiądz odprawiał codzień nabożeństwo i byli tam potem dobrzy i pobożni ludzie, co powychodzili na biskupów, na wielkich panów i stał ten zamek długo, ale widać, co raz Bóg potępił, to już takie pozostanie, to też i ten zamek podupadł.

A ciekawy Michał zapytał się:

— A którytо król polski fundował ten zamek?

Xiądz: Oj był tu był taki król gospodarz, Kazimierz Wielki — on przez 40 lat królował w Krakowie, a ta Galicya

nasza należała do niego i nasi pradziadkowie byli jego dziećmi i brali od niego co się wlazło. — Onto wyfundował w Polsce 46 zamków takich, jak i ten Odrzykoński, do 50 samych kościołów murowanych a co znowu drewnianych, boćto i kościołek nasz w Krościenku i w Haczowie ma być jego ofiarą, boć to on miał dać z swoich lasów drzewo takie na te kościoły, jakie dziś nie rośnie po lasach. On był sam raz w Krośnie, kazał obmurować do około murem wielkim całe miasto i te stare mury można jeszcze dziś widzieć. Spodobała mu się ta góra i te kamienie i tam kazał wyfundować zamek z kaplicą i osadził tam jednego Polaka i xiędza, aby była obrona przed złymi ludźmi i nauka i chwała Boża. Byli wtedy w Krośnie Franciszkanie już od dawna i byli tam zakonnicy pobożni i rozumni; to też wybrał ten król jednego na biskupa do Przemyśla, i był ten zakonnik pierwszym biskupem w Przemyślu ale aż po śmierci króla tego. Potem kazał fundować zamek w Dukli, Sanoku, Przemyślu, we Lwowie aż dwa zamki, a koło Krosna znowu zamek w Ojcowie, Lanckoronie tam gdzie dziś nasza staropolska Kalwarya, potem w Łobzowie, Niepołomicach, Wiśniczu a i Rzeszów ma dziś kryminał, a to był dawniej zamek tego króla; tak samo i w Łańcucie zamek kazał zmurować.

A Michał słuchając tego z ciekawością gadał:

— I nacoż to tyle zamków fundował ten król polski?

Xiądz: Moi kochani! wtedyta nie było tak, jak dziś — nie było jeszcze tyle wsi i luda, co dziś, dopiero szli ludzie zewsząd do Polski, jak muchy do miodu a król miłosierny rozdawał każdemu grunta, dawał z lasów swoich drzewa na budynki, uwalniał nowych gazdów na jakie 40 lub 50 lat od podatków i od wszystkiego, aby się chłopi mogli zapomódz, i za tego to króla lazło do Polski, co jeno było biedne, nawet Niemcy, Żydzi, Węgry i wie to Bóg co tam już za ludzie. I nasze też wsie w Galicyi powstały wtedy, a nasi pradziadkowie nazywali się też rozmaicie. Otoż dla obrony takich nowych gazdów fundował król te zamki, aby w czasie jakiej biedy mogli się oni schronić do zamku to z dziećmi to z chudobą, bo to wtedy gadali po całym świecie, że Polacy, mieli tyle duka-

tów, żeby byli mogli zakupić świat cały, i dla tego też leźli do kraju różni rabusie to Tatary, to Węgry, to Moskale, aby rabować ludzi. Jak się biedni ludziska skryli do takiego zamku albo za mury do miasta, to coż im tam kto mógł zrobić.

A stary i pobożny Wawrzyniec podparł sobie ręką głowę i dumał i dumał na to gadanie i tak się odezwał:

— No! i patrzcieno moi dobrzy ludzie, że my też to o takich dobrych królach dawnych mało co wiemy, a toć to ojcowie dopiero, toćto fundatorowie tacy, i co to oni porobili dla ludu, to jeszcze dziś stoi i to mają ludzie i ich dzieci i będą miały na wieczne czasy. Toć my to nierozumne chłopy, nie będziemy pono mieli już nigdy takich ojców! toć my z dziećmi powinni wstając i legając modlić się za takich ojców i prosić jeszcze gorąco Pana Jezusa, aby nam dawał takich dobrodziejów. I proszę też Jegomości, czy teżto dawni ludzie tak byli ciemni i nierozumni jak my dziś?

Xiądz: Mój Wawrzyńcze stary! A gdzieby tam król taki był przystał na to, aby gazda który był bez nauki? To też ten król Kazimierz fundował za swoje dukaty szkołę wielką w Krakowie, co jeszcze dziś stoi, jeno na innem miejscu — on fundował biskupów w Przemyślu także ze swego, to samo zrobił we Lwowie i Haliczu — on fundował po miastach szkoły polskie, przy klasztorach były wszędzie szkoły, w takich zamkach były także szkoły — on napisał prawa polskie dla chłopów i panów i xięży, on był ojcem chłopów, to też jak on pomarł, to chłopi płakali 3 roki za nim, nie sprawiali wesel żadnych, jakby w poście, składali się na nabożeństwo za jego duszę, a potem chodzili jakie 100 lat do grobu jego i tam płakali za swoim polskim królem Kazimierzem.

A Wawrzyniec spytał się:

— A gdzieżto leży ten król nasz dobry?

Xiądz: W Krakowie! ot teraz chcą grób jego odnowić i naprawić, boć to już blisko 500 lat, jak on tam pochowany, a byłoby dobrze, żeby się chłopi do tego przyczynili, żeby złożyli na co ich serce polskie stać i dali swym panom albo xiężom, a ci odesłaliby to do Krakowa — boć warta się pomodlić za takich Ojców i warta dać bodai kilka krajcarów

na krzyż grobowy dla takiego króla, a może też dusza takiego Ojca uprosi nam w Niebie coś lepszego.

Na to Michał i Wawrzyniec gazdowie i Antoni kościelny i inni odpowiedzieli:

— To dobrze! Jegomość! to my na drugą Niedzielę przyniesiemy tu do Jegomości nasze składki, a Jegomość je odeśle do Krakowa, aby też ludzie wiedzieli o tem, że i my też ani ostatni ani najgorsi.

Xiądz: No teraz chodźcież na nabożeństwo ze mną, a pamietajcież sobie dobrze to gadanie i abyście też wiedzieli, że pradziadkowie wasi tu z tego kraju należeli do Krakowa do królów polskich. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Przygoda skrzypka.

Tęgi był mróz i zawierucha okrótna, kiedy Antoni Bujak przyszedł do chaty Wojciecha Mrzyka.

— Szczęść Boże! — przemówił do pracującego Wojciecha. Jak się macie mój kumotrze, zdrowiście?

— Bóg zapłać! zdrowiśmy z łaski Pana Jezusa wszyscy — odrzekł Wojciech i zaraz prosił Antoniego do siedzenia koło ciepłego piecyka.

— I cóż tam słychać nowego, mój kumie? powie Wojciechowa — boście jakoś dawno już u nas nie byli, nie wiem co to ma znaczyć?

— Aj moiściewy — rzeknie ze śmiechem Antoni — albo ja chcę, żeby mię wilcy zjedli, co jak słyszę bardzo się kręcą koło naszych zagród. O przygodę nie trudno.

A Wojciech na to:

— Może się takiej przygody boicie jaka spotkała niedawno temu Mikołaja Brzydaka, co?

— Alboż ja wiem o czem — odpowie Antoni — kiedy nigdzie nie chodzę, chyba do kościoła na nabożeństwo albo tylko czasem do swoich znajomych na pogadankę...

— A przecież to głośno o tym wypadku po całej wsi — zagada Wojciech. Do poźnej nocy pił Mikołaj w karczmie, a potem idąc pijany, przewrócił się do śniegu i ledwie nad ranem znaleźli go ludzie na pół żywego. Jeszcze do dziś dnia choruje on na odmrożenie.

— A to ładna historya! — zawoła Antoni — tak to bywa: kto wódeczkę pije, lada kędy gnije; — a przecież się ludzie od niej odzwyczaić nie chcą. Wolą być chyrlakami niż zdrowymi i do wszystkiego zdolnymi ludźmi!

A Wojciech doda:

— Dobrze, że mu się nie tak wydarzyło jak owemu skrzypkowi, o którym mi jeszcze mój nieboszczyk ojciec opowiadali.

— A powiedzże nam, mój Wojciechu — przerwie żona — o przygodzie owego skrzypka.

— Ha! jużcić opowiem wam, bo to było zdarzenie nie lada. Wie o tem nie jeden bardzo dobrze jakby się to dzisiaj wydarzyło, chociaż mu może dziadek jeszcze opowiadał. Pierwej jednak potrzeba wiedzieć, że dawniej nasza ziemia była bardzo lesista, a więc nie mało się w owych lasach zwierza chowało, a w zimie wilki jakby nieprzymierzając nasze kury po polach sobie chodziły.

Owoż jednego dnia zimową porą poszedł jeden skrzypek na kiermasz do sąsiedniej wsi. Po kiermaszu zaszedł do karczmy i aż do poźnej nocy rzempolił ludziom, co zamiast na chwałę Bożą, na hulanki z daleka się poschodzili. Dopiero gdzieś koło północy szedł on do domu. Mróz był siarczysty, ciemno było jak w piwnicy, to też nasz skrzypek pobłądził w drodze, i zamiast do swojej zagrody przyszedł do lasu. Idzie tedy po omacku szukając drogi i w tem wpada do głębokiej jamy, którą leśniczy dla łowienia wilków wykopał. Przestraszył się ogromnie co się z nim dzieje, aż po chwili wszystkie nań wystąpiły poty, bo coś żyjącego na spodzie przy nogach namacał. O Chryste Panie! patrzy się lepiej, a tu ogromny wilk wytrzeszcza na niego oczy jakby go miał w tej chwili potargać na drobne kawałki.

Nie miał ci on nic w swoim ręku prócz swoich skrzypeczek, począł więc w wielkim strachu przed rozwartą paszczą wilka wszystkie kawałki, które tylko umiał wygrywać, co mu tą razą bardzo było nie na rękę. Wilkowi widać podobało się ono granie, ponieważ jął wyć okrutnym sposobem, a inne wilki w lesie za każdem jego wyciem odzywały się bez przestanku. Niekiedy tak blisko jamy było słychać wycie, że biedny skrzypek trząsł się jak w największej febrze i ciągle mu się zdawało, że coraz więcej tych okrutnych gości schodzi się nad jamę dla zrobienia sobie dobrej potrawy z jego chudego ciała, któreby dla jednego wilka nie wystarczyło.

I w samej rzeczy słysząc inne wilki wycie swojego towarzysza w jamie, schodzili się jeden za drugim niby na jego ratunek. Skrzypek zaś w wielkiej obawie poglądał raz na wilka, drugi raz do góry rychło już zadnieje, bo mu się jeszcze nigdy w całem życiu granie tak nie sprzykrzyło jak w owej nocy. Wiem, żeby był wolał dwadzieścia lat codzień drzewo rąbać, aniżeli przed rozżartym wilkiem godzinę w dziurze wygrywać. Co się wilk ruszył, skrzypkowi włosy na głowie stawały i grał bez pamięci aby go tylko uspokoić, ale nim zadniało na dworze pękły mu już dwie strony, a gdy się zrobił dzień jasny przerwała mu się i trzecia strona, i tak grał tylko jeszcze na czwartej i ostatniej, a gdyby mu się była i ta przedarła byłby go natychmiast wilk rozszarpał, który przez ustawiczne wycie daleko był głodniejszy niż koło północy.

W tem na szczęście przychodzi, a było już dobrze w dzień, stary leśniczy którego zwykle Łowisarkiem nazywano, albowiem daleko będąc usłyszał ogromne wycie wilka, a bliżej zaś niezwykłe granie. Owoż z niemałym kłopotem i trudem wyciągnął on z wilczej jamy do śmierci podobnego skrzypka, gdy wprzódy zgłodniałego wilka dwoma kulami ugodził.

Przelękniony a przytem jakby na nowo odrodzony skrzypek nie mógł się nadziękować dobremu leśniczemu za wybawienie od niechybnej śmierci. I poszedł sobie swoją drogą, a przyszedłszy do domu zaprzysiągł nie chodzić nocami, jeno postanowił we dnie prostą drogą powracać do domu. Zaś granie w karczmie tak mu od onej przygody obrzydło, że często powtarzał do swoich znajomych:

— Już moi kochani, jak mi Bóg miły nie pójdę grać do karczmy, wolę sobie moją igiełką, boć jestem krawcem a nie żadnym skrzypkiem, na codzienny chleb zarabiać, i lepiej zrobię gdy mojej profesyi dopilnuję, aniżeli mam dwie sroki za ogon łapać, albowiem tak człowiek do niczego przyjść nie może. Jeżeli mię napadnie ochota kiedy na moich skrzypkach zagrać, pójdę do kościoła, tam zagram na chwałę Boską, a ztamtąd pewnie nie zbłądzę, ale prostą drogą przyjdę do domu.

— I nie wiecie czy poprawił się od tego czasu? — zapytał Antoni.

— Mówili mi nieboszczyk ojciec — rzeknie Wojciech — że najlepszym stał się człowiekiem, a kiedy przestał chodzić do karczmy przyszedł do majątku, i żył potem bardzo po chrześciańsku.

— I cóż wy na to, mój Antoni — zagada Wojciechowa.

— At co, bardzo mi się podoba ta przygoda — odpowie Antoni — wszakże ona powinna nie jednego odstraszyć od chodzenia nocami. Jeno pójdę opowiem to wszystkim na przestrogę, żeby się już raz upamiętali a nie zaglądali do karczmy, gdzie trzeba tracić pieniądze, a częstokroć narazić się na rozmaite okazye. Zaś gospodarstwo bez gospodarza upada, niedostatek po trochu wkradać się zaczyna, a żona i dzieci marnieją. Otóż to taki pożytek z chodzenia na przeklęte gorzałczysko.

— Na to powie Wojciech: Brzydak jeno wyzdrowieje, pewnie więcej nie zaglądnie do arendarza, bo ma porządną naukę. I ja już nigdy nie chodzę na pijatykę, siedzę sobie w domu spokojnie, czytam po robocie piękne xiążeczki, które od xiędza dobrodzieja pożyczam i ani wspomnę kiedy o nudocie.

— A cóż teraz czytacie — pyta Antoni.

— Bardzo ładną, można powiedzieć przecudną xiążeczkę ze Lwowa, co jest na niej Złota xięga wypisano. Co zaś w niej nie rozumiem, pytam się xiędza dobrodzieja albo pana nauczyciela, który niedaleko odemnie mieszka.

— Pożyczcież mi jej jak przeczytacie, a teraz już czas do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli Wojciechowie — a pamiętajcie nas częściej odwiedzać.

I na tem skończyła się nauczająca rozmowa między nimi. A iż ona jest piękna, weźcie ją sobie mili gospodarze do serca, poprawcie się jeżeli trwacie w nałogu pijaństwa, abyście potem nie żałowali — po szkodzie! *Józef z Bochni.*

Historya o Kaśce co w kominie siadywała i o leniwej torbie.

Była jedna wdowa, a ta miała córkę jedynaczkę, którą bardzo kochała. Ale bo też to była przecudnie ładna dziewczyna, jeno że była nygus do roboty. Ale temu nie ona była winna, jeno matka, bo ją od młodości pieściła i nie dała jej nic robić, ani się tykać niczego. Córka też nic nie robiła, jeno siedziała w kominie, piekła sobie ziemniaki i grzebała w popiele. Tak przeszło lat 17. W tym wieku wszystkie dziewczęta we wsi, swojaczki i nie swojaczki, miały jak każda swego kochanka; ale do Kaśki, bo tak było na imię owej ładnej córce, nikt jeszcze nie zajrzał, ani nawet żaden biedny parobek; ale bo też już wszyscy wiedzieli jaki z Kaśki nygus, i każdy mówił: „Ady to z tego nic dobrego nie będzie, wszakże będziecie widzieli na żywe oczy.“ To słyszała nieraz i matka, a więc ją to okrutnie kłopociło. Matka zaczęła tedy naganiać córkę do roboty; ale cóż? ta nie wiedziała nawet jak co wziąć do ręki, bo nie była przyzwyczajona do roboty, a więc też i nie dziw, że jej się wszystko srodze ciężkie wydawało. Wnet jej się wszystko sprzykrzyło i przestała robić, a nanowo w kominie siadać zaczęła.

I tak uszedł znowu rok jeden, a kawalera jak nie było tak nie masz, jak nie widać, tak nie widać.

Ale w drugiej wsi jeszcze ludzie o tem nie wiedzieli, że Kaśka jest do niczego; ale widzieli przecie jaka jest ładna, bo też czasem poszła do kościoła. W tej tam tedy wsi był jeden parobek, któremu na imię było Kuba. Ten więc kiedy obaczył Kaśkę, zaraz mu się okrutnie spodobała i nie zadługo

potem przyszedł i prosił o nią jej matki. Matka bardzo się uradowała i zaraz mu obiecała dać córkę, ale mu mówiła, żeby przynamniej jeszcze jeden rok poczekał, bo jej córka jeszcze bardzo młoda i nie wiedziałaby jeszcze jak sobie począć we własnym domu. Obiecała mu też dać z córką jedno gospodarstwo, bo miała aż dwa. Tymczasem zaś myślała nauczyć córkę jakiej roboty, a może też i myślała, że przyjdzie po Kaśkę jaki kmieć; bo co prawda to i nie grzech, byłaby wolała kmiecia, niż parobka. Ale rok wneciutko przeminął, a Kaśka ani się niczego nie nauczyła, ani też nie przyszedł nikt po nią, jeno Kuba, który zaraz przyprowadził ze sobą dwóch swatów, i przyniósł też wódki, aby zrobić zmówiny.

Kiedy więc weszli do chałupy i pochwalili Boga, więc zaraz zaczęli swatowie prosić matkę o córkę dla Kuby, a Kuba też zaraz matce do nóg. Na co matka: „Jeżelić taka wola Boża; niechże się stanie i niechże im Bóg błogosławi!“ Znowu się skłonił Kuba matce do nóg, a ona wzięła go na stronę i mówiła do niego: „Dam ci córkę moją na żonę i jedno gospodarstwo, ale mi musisz przyrzec wprzód, że jej dasz wszystko na wolą, iż będzie mogła robić, co tylko sama będzie chciała, bo widzisz, że to jeszcze dziewcze młode, to nie będzie wiedziało jak co wziąć w rękę.“

Kuba przyrzekł matce, czego po nim wymagała, a potem dobył wódki i pił za jej zdrowie, a ona piła za zdrowie dzieci do swatów, a swatowie do Kaśki za zdrowie Kuby. Kaśka siedziała koło komina i zawstydziła się na to, ale w duszy rada była, bo Kuba raźny był chłopak, i spodobał jej się także od razu.

Po zmówinach zaraz też dali na zapowiedzi, a po zapowiedziach było też zaraz wesele. Kuba kupił sądek wódki i beczkę piwa, a matka zabiła kilkanaście gęsi, parę skopów, tucznego wieprza i wołu karmnego. I nie na próżno też mówili drużbowie, spraszając gości na wesele:

I zabili też tam wieprza nie małego,
W korycie oparzonego;
I będą też tam skrzypki i bas,
A kto się naje i napije, pójdzie do domu wczas!

Ale bo też to matka Kaśki miała się dobrze i była zawołana gospodyni. Po weselu były zaraz i przenosiny na gospodarstwo, które matka dała Kubie, a które się znajdowało na drugim końcu wsi onej. Do tego gospodarstwa dała także matka zięciowi wszystek inwentarz, wszystkie porządki i co jeno było potrzebne w gospodarstwie; a Kaśce wypakowała komorę wszelkiemi leguminami, aby jej na niczem nie zbywało. Miała więc Kaśka pełną śpiżarnię mąki, kaszy, jagieł, grochu, suchego owocu i t. d., miała podostatkiem okrasy, masła, sera, jaj, soli i t. p., i mogła sobie żyć jak pączek w maśle, byle się była umiała tem rządzić. Ale Kaśka nic nie umiała, nawet nie umiała sobie jeść ugotować.

Na drugi dzień tedy po przenosinach wstał Kuba rano i poszedł do swoj roboty na podwórze, a niewrócił się prędzej do chałupy, aż myślał, że przecie ma Kaśka gotowe śniadanie. Ale kiedy był przyszedł, a tu w kominie jeszcze ciemno, a Kaśka jeszcze w łóżku. Nic nie mówi, jeno robi ogień, zastawia garnki i gotuje śniadanie, bo myślał sobie, że to pierwszy dzień po weselu, to się Kaśka nie wyspała. Kiedy już wszystko było gotowe, budzi Kaśkę i jedzą śniadanie. Po śniadaniu odchodzi Kuba do swojej roboty, zaprzęga woły do pługa i wyjeżdża w pole, a Kaśka zaledwie Kuba przełożył nogi za próg, hyc w komin! Nadchodzi południe, a Kaśka ani myśli o obiedzie; ale bo też w domu nigdy nie robiła. Kuba przyjeżdża z pola, a tu Kaśka w kominie, a w kominie ciemno, statki od śniadania nie umyte, izba nie zamieciona i łóżko nie posłane. Znowu nic nie mówi, jeno robi ogień, pościela łóżko, zamiata izbę, myje statki i gotuje obiad. A gdy już ugotował zawołał parobka, zjedli i poszedł Kuba znowu do swojej roboty, znowu z tą myślą, że to tylko pierwszy dzień tak będzie. Ale przychodzi na wieczór, a tu znowu wszystko tak zastaje jak przed obiadem, i znowu nic nie mówi, jeno znowu wszystko sam robi. Po wieczerzy poszli spać: a tak przeszedł pierwszy dzień, a Kuba myślał że to przecie na drugi dzień wszystko inaczej pójdzie. A do kata! jak minął dzień pierwszy, tak też przeszedł zupełnie i dzień drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty; Kaśka jak nic nie robiła, tak nic nie robi, jeno tylko Kuba sam. Ani też nie widzi żeby się choć trochę do czego

poczuwała; ale gdzie tam ani krzty, a mówić jej darmo, bo przecie przyrzekł matce, że jej da wszystko na wolą, i że będzie mogła robić jak jeno sama będzie chciała.

Dopiero to Kuba w kłopot! Nie wiedział jak tu co robić i jak co zacząć; robił więc jak mógł sam wszystko w domu i w polu. Ale nareszcie już mu się też i odechciało wszystkiego i stracił zupełnie głowę. Kiedy więc jednego dnia wyjechał po południu w pole, zupełnie mu się już robota nie chciała szykować. Wyprzągł więc woły i puścił je samopas na łąkę, a sam zaś zaczął chodzić na około jak głupi. I chodzi i chodzi, i myśli i myśli, aż nareszcie stawa w jednem miejscu i mówi sam do siebie: „Przecież nie podobna aby człowiek miał ogłupieć; trzeba się koniecznie jako z nią spróbować.“ Tymczasem i słonko miało się już ku zachodowi; zawrócił więc woły i pędzi je do domu. Przychodzi do chałupy, ale tu jak było dawniej tak i teraz, to jest Kaśka w kominie, a wszystko porozrzucane i nie posprzątane, nie mówi nic, jeno jak zawsze tak i dziś robi ogień i gotuje wieczerzę, a jak się najedli zabierają się do spania, i ledwie się Kuba obejrzał, już Kaśka jednym susem była w łóżku. Ale Kuba nim się położył, bierze swoją skórzaną torbę, która zawsze wisiała kole okna, a potem tęgi pręt laskowy w rękę, i tak odzywa się do torby: „Moja torbo! to tak być nie może! Ja robię jak wół, a ty wisisz i wisisz; ja gotuję jeść, a ty na to patrzysz. A wszakże ja cię mam abyś ty przynajmniej w domu co zrobiła, abyś mi nagotowała jeść i zrobiła porządek w chałupie! A ty nic a nic nie robisz! To tak przecie być nie może; co nie, to nie! Widzisz oto ten kij? Jak mi od dziś dnia nie ugotujesz regularnie śniadania, obiadu i wieczerzy; jak mi nie pościelesz łóżka i nie poumywasz czysto statków, jak mi nie zamieciesz porządnie izby, komory i sieni: to ten kij oto, będzie cię miał w robocie, tak jak jestem Kuba.“ Potem powiesił torbę na swoje miejsce i położył się spać. A Kaśka śmiała się w duchu i myślała sobie: Jaki też to głupi ten Kuba, albo to torba będzie mogła co robić? przecież ona nie żywa, ale nie mówiła jednak nic do Kuby, jeno była ciekawa końca. Zaś o tym końcu historyi będzie napisano w przyszłym Dzwonku.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Zazwyczaj tak bywa, że najczęściej zdarzają się pożary w jesieni, gdzie to pełno słomy i w stodołach i w gumnach a gospodynie koło lnu robią w chatach. Zaś tego roku to i pod wiosnę ognie straszne czynią szkody i niejednego już bogatego kmiecia zamieniły w żebraka. Co dzień prawie gdzieś się spali kilka budynków. I tak w nocy z dnia 27 na 28go przeszłego miesiąca zgorzało w *Staremsiole*, w obwodzie żółkiewskim cztery chaty — a ogień zniszczył i zboże i chudobę do szczętu. W *Ihnaszu*, także w obwodzie żółkiewskim spaliło się pięć domów i co tylko w nich było, to zgorzało na popiół. W *Zaszkowcach*, około Lwowa, pogorzało dnia 26. przeszłego miesiąca sześciu gospodarzy i stracili biedacy całe swe mienie, tak że teraz tylko na bożem i ludzkiem miłosierdziu żyć muszą. W *Strutyni wyżnej* w obwodzie stryjskim powstał ogień u gospodarza Stanisława F. Był to kmieć bogaty i miał wiele chudoby i zboża. Ale cóż, Bóg dał, Bóg wziął. Ogień spalił wszystko na popiół i ni mniej ni więcej tylko 13 sztuk bydła zgorzało na węgiel temu nieszczęśliwemu wieśniakowi. Piszemy o tem wszystkiem dla was w „*Dzwonku*“, abyście się mieli na opatrzności i dobrze się wartowali przed tem pokaraniem bożem — bo jak to mówią ludzie, z ogniem i wodą niema co żartować.

Nieszczęśliwy przypadek. Nieraz to tak bywa, że ludzie wracający z targu zasypiają na wozie i puszczają konie ot tak na bożą opatrzność. Zaś z tego bywa często nieszczęście. Konie mogą kogo rozjechać, zbłądzić albo wywrócić, a zły człowiek jaki może nieraz co ukraść z woza. Nieraz zaś jeszcze daleko większy może się stać przypadek jakto wam zaraz opowiem. Jeden kmieć nazwiskiem Jan B. powracał sobie z Doliny z jarmarku, a że trochę był sobie podchmielił na litkup, więc też zdrzemał się na wozie i konie puścił samopas Droga prowadziła przez rzekę Stryj — konie chciały przejść przez nią, ale na nieszczęście natrafiły na bardzo głębokie i bystre miejsce, i cały wóz wraz z człowiekiem i końmi utonął. Na drugi dzień dopiero wyciągnęli ludzie z wody nieżywego wieśniaka i potopione konie.

Przysłowia.

1. Sen mara, Pan Bóg wiara.
2. Każdy kraj, ma swój obyczaj.
3. Każdy dudek, ma swój czubek.
4. Jedna jaskółka nie przyniesie wiosny.
5. Za panią matką, idzie pacierz gładko.
6. Mądry głupiemu ustąpi.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.